



As

i

*dama*

\*\*\*

Siedzieli przy samolotach paląc papierosy i z niepokojem zerkając na barak dowództwa. Armia przegrywała, alianci przeganiali ich z powietrza, a oni tu siedzieli. Uderzenie w gong i okrzyk: do maszyn! – przyspieszył tempo pracy serca do galopu. Osiem gotowych maszyn typu Fokker D.VII, w tym postrzelana i połamana, biała „czwórka” jedna po drugiej z kasznięciem odpałało silniki i zwiększało obroty. Rudi, Jego mechanik pomógł mu zapiąć pasy, po czym odchylił nausznik pilotki i wrzasnął:

- Na Saint-Quentin. Anglicy *Herr leutnant!*

Garstka kiwnął głową i przeżegnał się. Pierwszy ruszył Blumenbach, zaraz za nim Mietek, jako prawoskrzydłowy, potem reszta, w dwóch szeregach, popychając przepustnice i przyspieszając.

- Moja stara, dobra czwórka, nie zawiedziesz mnie i przywieziesz z powrotem – szepnęła ciepłym głosem gdy koła odrywały się. Pieszczotliwie pogłaskał kciukami drążek przymilając się. Choć to niby przedmioty martwe, ale lepiej złego było nie kusić. Fokkery szybko wspinały się na trzy tysiące metrów, by uzyskać przewagę wysokości. Wrześniowe słońce, którego tak mało widzieli ostatnio przygrzewało, więc będą atakować z nim w plecy, na oślepionych wrogów. Już w kilkanaście minut po starcie dostrzegł na zachodzie ciemne punkciki samolotów i zamachał skrzydłami, po czym pokazał je oberleutnantowi, ale ten gestem nakazał dalszy lot. Kierunek był oczywisty – wskazywały im go smugi dymów nad linią frontu. Pod nimi przesunęło się Saint Quentin, a dowódca parł dalej. Maszyna po jego prawej pokiwała skrzydłami a pilot pokazał skośnie w dół. Mietek powtórzył znak wskazując kierunek dowódcy. Ten przez chwilę przyglądał się po czym pokiwał głową i uniósł dłoń, po czym energicznie opuścił ją. Sygnał do ataku! Jakiś kilometr pod nimi ciągnęło kilkadziesiąt ciemnych dwupłatowców różniących się wielkością. Tłuste bombowce w osłonie myśliwców, najprawdopodobniej S.E.5a albo Sopwithów. Mietek rozejrzał się szybko: wydało mu się, że widzi kolejną Jasta za nimi, ale ostre słońce oślepiło go i na chwilę przed oczami pojawiły się krwiste plamy. Co rusz więc zerkał na boki czy trzyma się formacji mrugając dla poprawy widzenia.

Tamci już ich spostrzegli, już od stada angielskiej baraniny oderwały się kanciaste owczarki i popędziły w ich stronę. Zamrugał i wydusił łzę, po czym ostatni raz rzucił spojrzenie na wskaźniki. Silnik od BMW pracował pełną mocą, tuż przy czerwonym polu, paliwo dwie trzecie, olej...

Formacja wroga nieco rozeszła się, dając większą możliwość manewru. Już teraz nie miał wątpliwości, że w ich stronę gnają S.E.5a oraz kilka *Cameli*, tak jak Fokkery - robocze konie angielskiego lotnictwa. Któryś z młodych pilotów odpalił serię marnując kilkadziesiąt pocisków. Mietek złapał w lewy celownik drgającą, rosnącą sylwetkę Anglika, a kciuki oparty się na przyciskach spustów. Niespodziewanie przeciwnik uniósł nieco przód po czym rozświetlił się błyskami strzałów, psując Mietkowi koncept walki. Odruchowo pchnął drążek by uniknąć mknących w jego stronę pocisków, czując stukot na górnych płatach. Wściekły podciągnął zmniejszając gaz, wykonał przewrót hamując i opadając w ostrym zawrocie odszukał wesołka. Brytyjczyk wyraźnie nie był nowicjuszem i sprawnie ustawiał się do kolejnego ataku, ale miał Mietka pod słońce. Ten zaś zsunął kciuki ze spustów kaemów i nabierając prędkości rozpoczął zakręt w prawo zachęcając wroga do wejścia mu na ogon. Fokker był nieco szybszy, ale i zwrotniejszy, i w walce kołowej był sprawniejszy. Tuż obok przemknęła para związanych bojem aeroplanów ale on zerkał na wrogą, ciemnozieloną maszynę, która zbliżała się pod kątem, po czym zacieśnił zwrot, jakby wystraszony. Tamten rozjarzył się serią, która przeszła o kilka rozpiętości płata obok. Jeżeli cokolwiek pamiętał z

tamtej chwili, to wciskające go w siedzenie przeciążenie i pełną strachu myśl: kiedy rozsypią się zastrzały? Po ułamku sekundy wróciła pełna świadomość: Anglik wszedł za nim w śmiertelny taniec. Trochę zdusił silnik i maksymalnie wychylił powierzchnie sterowe zacieśniając krąg. W pobliżu przeleciała seria, oko zarejestrowało plamę ziemi i błyskawicznie przesuwał się na niebie ciemne punkty. W gardle zaszczo, za to serce waliło z prędkością karabinu maszynowego. Krąg, następny, następny i nagle dostrzegł przed dziobem samolotu tylne usterzenie wzmocnione linkami, a zaraz wielkie kokardy na oliwkowych skrzydłach. Anglik odwrócił się i wtedy Mietek dotknął spustu. Fokker zadrżał gdy smuga metalu przecięła płócienną płatę wroga a następnie środek jego kadłuba. Ten natychmiast oddał stery i *Camel* bezładnie wypadł z kręgu wchodząc w nurkowanie. Błysk: oślepiony Garsztko na ułamek sekundy spóźnił się, ale zaraz pchnął maszynę w nurkowanie, rzucając błagalne spojrzenie prawym zastrzałem, które mechanicy po poprzedniej walce prowizorycznie wzmocnili. Płótno coraz silniej trzeszczało; na szczęście pilot nie było trzasku rozdzieranej tkaniny.

Obaj spadali błyskawicznie w dół, przy czym Anglik szybciej, z wolna zwiększając odległość.

- Nie! – Mietek poczuł wściekłość. Minimalnie uniósł dziób i nacisnął na spust kaemów.

Rozpaczliwa seria musiała ugodzić wroga, bo ten niespodziewanie rozpoczął zakręt dając Fokkerowi następną szansę. Byli około dwustu metrów nad pędzącą pod nimi ziemią. *Camel* próbujący robić uniki i on odpalający króciutkie serie. Nieco z boku kątem oka dostrzegł dwa Pfalz-e uciekające przed rojem Anglików i zdał sobie sprawę, że zaraz jeden z herbaciarzy usiądzie mu na ogonie. Jego ofiara wykonywała manewry obronne a on skonstatował, że robi to schematycznie. Wskazówka tachometru sięgnęła maksimum kiedy Anglik ustawił mu się tak jak na strzelnicy.

### **Tratatata.**

Sopwitch<sup>1</sup> zadymił i ostro zszedł z linii strzału. Mietek zmniejszył gaz i rzucił okiem na wskaźnik paliwa – strzałeczka przekroczyła połowę. Buchający coraz gwałtowniejszym płomieniem samolot nagle zanurkował po czym skierował się w stronę wioski i kościelnej wieży. Kilka sekund i jego koła uderzyły o trawę i konstrukcja rozsypała się, natychmiast eksplodując. Mietek przemknął nad pokonanym i wszedł w ostry zakręt starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów terenu. W zawrocie dostrzegł odbiegającego od płonącego kadłuba pilota i pomachał mu skrzydłami. Godzina? 11.40. Ile trwała walka? Minutę? Pięć? A może więcej?

Niespodziewanie dostrzegł białą „siódemkę” z namalowanym na kadłubie czerwonym kołem sterowym na białym tle – pilota z Jasta 24, idącą równoległym kursem. Podleciał, pomachał skrzydłami po czym gestem pokazał na wciąż widoczny płonący samolot. Pilot uniósł kciuk po czym wskazał na zachód, na linię frontu. Rozpoczęli wspinaczkę bacznie rozglądając się. Mietek pierwszy wypatrzył eskadrę angielskich myśliwców pędzącą jakieś pięćset metrów nad nimi, ale na szczęście niemiecki kamuflaż okazał się wystarczająco dobry.

Lecieli tak może ze dwie, trzy minuty, gdy Fokker obok zamachał skrzydłami a ręka pilota wskazała na kolejną grupę wrogów. Kilkanaście angielskich lekkich bombowców dopadło niewidoczny na razie dla obu Fokkerów cel na lądzie i sypało gęsto bombami na dymiącą ziemię. Mietek obejrzał się ale nie dostrzegł w najbliższej odległości innych maszyn. Wyglądało na to, że z pilotem „koła sterowego” mają niepowtarzalną okazję na jeden, może

---

<sup>1</sup> Zestrzelonym okazał się być pilot z 46 dywizjonu. RAF, porucznik. H.C. Saunders, który zginął.

dwa ataki a następnie ucieczkę do siebie. Przewaga wroga w powietrzu była znaczna i herbaciarze szybko przeganiali Fokkery, Pfalze i inne niemieckie maszyny z nieba.

Prawie pionowo nad sobą, na tle chmury dostrzegł samotny krzyż aeroplanu, który skojarzył mu się żurawiem. On był sokołem, a nad nim płynął kolejny tłusty kawał mięsa. Machnął ręką, by zwrócić uwagę towarzysza, lecz ten przyglądał się czemuś na ziemi. Przez mgnienie oka chciał zwrócić uwagę „siódemki” lecz instynkt myśliwego wziął górę. Zanim pomyślał, mięśnie pchnęły przepustnicę i począł wzbijać się. Garszka kilkakrotnie obejrzał się – nieco bardziej na północ kręciło się kilkanaście myśliwców tocząc walkę, a dalej sunęła wracająca eskadra angielskich kancjastych D.H. 4 lub D.H.9. Tłuste kaski, lecz posiadające na tylnym stanowisku strzeleckim karabin maszynowy systemu Lewisa. Ten kaem nie miał zbyt pojemnych bębnow amunicyjnych, ale herbaciarscy strzelcy cieszyli się podłą sławą.

Samolot do którego podchodził wciąż leciał spokojnie, przez moment mógł dostrzec mocny błysk z boku kadłuba – zapewne od soczewki aparatu fotograficznego. Zaraz będzie tysiąc metrów. Przenosi wzrok na prawo, gdzie nie dalej niż kilometr od niego wirują w śmiertelnym tańcu inne aeroplany. Zaraz któryś go zobaczy i żegnaj obserwacyjny herbaciarzu... Szczęście go nie opuszcza, dochodzi na poziom tysiąca trzystu metrów uzyskując niewielkie przewyższenie nad celem. Już go dostrzegli: świetliste koraliki pędzą w jego kierunku. Odbija mocno w bok. Garbaty ster kierunku, biały, poziomy pasek na kadłubie, połyskująca matowo metalowa obudowa silnika. F.K. 8<sup>2</sup>? Angielski strzelec - obserwator nie odpuszcza mu i Garszka musi wykonywać uniki by zejść z linii ostrzału. Lekko nurkuje, a herbaciarz wstaje na swoim stanowisku by go dosięgnąć. Nagle jego ogień ustaje a człowiek chowa się w kabinie sięgając po nowy magazynek. Teraz! Seria jest króciutka ale niewątpliwie celna. Anglik gwałtownie zmienia kurs schodząc w dół. Oko Mietka dostrzega zmianę koloru spalin i pojawienie się nowego bębna w karabinie systemu Lewisa. Fokker przewraca się na prawą burtę schodząc ze smugi strzałów.

- Szlag! – klnie Mietek bo manewr wyrzuca go za daleko ofiary. Szybko sprawdza otoczenie: jakaś maszyna w kręgu tłukących się myśliwców mocno dymi i wygląda na to, że wkrótce któryś herbaciarz zauważy, że ich obserwacyjna maszyna ma kłopoty. Armstrong wciąż schodzi, dobry pilot co rusz manewruje starając się utrudnić Garszce celowanie, a strzelec trzyma Fokkera na dystans. Mietek czuje narastającą złość na swoją nieudolność: pochyla maszynę do szarży. Czas jakby zwalnia, kancjasta maszyna wroga rośnie w oczach: wyprzedzenie i palce naciskają spusty. Pociski ze smugaczem dopadają kadłub angielskiego samolotu. Obserwator musiał dostać, bo Lewis opada na kadłub a z silnika bucha ogień. Mietek wyprzedza swoją ofiarę i natychmiast wykonuje pętlę. Oczy rozszerzają się w zgrozie: bardziej od silnika płonie kabina lotników, pilot rozpaczliwie stara się zduścić płomienie, że strzelec w panice macha rękoma. Bezmocny zrównuje się z śmiertelnie rannym Whitworthem, obserwując dramat, którego jest autorem. Angielski pilot zaczyna ostrzejsze nurkowanie, nieco dusząc płomienie, lecz obserwator... przechyła się przez burtę i wylatuje. Pod nimi zryta lejami, księżycowa powierzchnia, jakaś droga. Nie ma gdzie lądować, a herbaciarze wciąż latają bez spadochronów. Garszka rozpaczliwie rozgląda się: jest! Niedaleko, jakimś cudem prawie bez śladów wojny łąka czy pole. Kiwa skrzydłami i pokazuje mu, lecz tamten chyba nie dostrzega. W ostatniej chwili maszyna przelatuje nad drogą z kikutami drzew i ciężko wali o ziemię. Z jej powierzchni ku Mietkowi błyskają pomarańczowe światełka wystrzałów, więc podrywa ostro Fokkera i nawiewa. Wskaźniki w porządku, ale paliwa mało, nie może pozwolić sobie na żadną nową walkę. Aby do linii frontu. Im bliżej lotniska tym z większym niepokojem spoziera na wskaźnik paliwa. Wreszcie

---

<sup>2</sup> Samolot typu Armstrong Whitworth F.K.8, dwumiejscowy, rozpoznawczo-bombowy.

dostrzeża charakterystyczny lasek i ciągnące się wśród polnej drogi zabudowania. Na dole ludzkie mróweczki wybiegały ku lądującemu.

Jego Fokker z rykiem przelatuje nad stojanką machając skrzydłami i pozdrawiając wiwatujących ludzi. Stojący na dole piloci i mechanicy widząc kiwanie wyrzucili w powietrze czapki, ale Mietek wszedł na drugi krąg i znowu zamachał.

Silnik chrapnął gniewnie, gdy znajdował się jakiś metr nad ziemią, ale koła pewnie dotknęły trawy i jego kochany Fokker potoczył się w objęcia zapłakanego ze szczęścia Christophera. Gdy wyłączył iskrownik a wrzeszczący coś mechanik wypinał go z pasów poczuł ogromne zmęczenie. Wstał, ale nim wyszedł czule poklepał maszynę, po czym pocałował skórzaną osłonę kabiny. Nie dotknął ziemi, bo rozentuzjzmowany tłum porwał go na ręce i poniósł w kierunku szczerzącego zęby Blumenbacha.

\*\*\*

- | co zamierzasz z tym robić? – Maria podniosła zapisaną kartkę papieru. - Nic tu nie ma o ciąży, a przecież obiecałaś napisać!

Olga podciągnęła kolana pod brodę, pociągając nosem, po czym przetarła mankietem oczy. Ech, gdyby była odważniejsza, to rzuciłaby się z mostu albo pod pociąg. Znaleźliby poszarpane zwłoki, miejscowa policja przeprowadziłaby krótkie śledztwo i pochowano by ją jako NN gdzieś przy cmentarnym płocie. Na taki los przecież zasługiwała.

- No mów! – głos Marii był coraz bardziej natarczywy, a wzrok rzucał pioruny. Skaranie z tą durną dziewczuchą! Fakt, dużo pomagała jej przy dzieciach, trochę zarabiała i dokładała do utrzymania, ale to? Zachciało się być wielką damą, panią pilotową. Usiadła na skraju łóżka i szarpnęła siedzącą za ramię. Olga podniosła twarz. Maria przez chwilę wpatrywała się w dziewczynę: zmierzwione kudły, zapuchnięte od płaczu oczy i nos, jakieś wypryski na szyi. Gdzie ten lejtancik miał oczy? A może kuzynka z Bydgoszczy łągała jak najęta? Puściła się za parę marek, albo i za butelkę musującego wina, i teraz ryczy.

-Jezusie, nie wiem! – wychrypiła.

- Ty lepiej Pana Jezusa nie tykaj, głupia. – Maria uderzyła Olgę dłonią w głowę.

- A taka cwana byłaś. Doktorową zostanę! – zgrzytnęła zębami - Zobaczysz, mój Miecio to, Miecio tamto – przedrzeźniała dziewczynę wyładowując własną złość. – To może niech teraz Miecio się dowie, co? Niech poczuje się do obowiązku!

- Przestań, nie wolno ci! – Olga odepchnęła kuzynkę. Zmrużone oczy i ściśnięte usta wyrażały jednocześnie wściekłość i strach.

- To w takim razie musisz wrócić do siebie, do Bydgoszczy. Mnie nie stać na utrzymywanie ciebie!

- Mania, nie, błagam. Ja będę pomagała, ci, z resztą nic po mnie nie widać, dobrze się czuję. Wezmę więcej godzin, dam ci więcej pieniędzy z zarobionych. W domu matka mnie z domu wyrzuci i gdzie się podzieję? Przecież nie pójdę do jego ojca i nie powiem mu, że to dzieło Micia. Już ta ichnia Felcia i jego matka na mnie wilkiem patrzyły. A jaka niesława...

- A to na mój dom niesławę przynieść możesz?

- Ale powiesz, że męża na wojnie straciłam. Jakiś pierścionek na rękę se kupię, na czarno chodzić zacznę. A jak się wszystko uładzi...

Maria wstała i po cichu podeszła do drzwi, po czym je gwałtownie otworzyła. Pisk i stukot dziecięcych nóżek o drewnianą podłogę, po czym zapadła cisza. Stary siedział jeszcze w szynku.

- Ale nie rozumiem – rzekła już znacznie łagodniej – dlaczego nie chcesz do niego napisać? Skoro czytałaś mi jego listy i mówisz, że to taki anioł.

- Pewnie wcześniej bym tak zrobiła. Ale on mówił... jak leci... to musi zapomnieć o całym świecie. Nawet mojej fotografii nie wiesza w kabinie, bo rozprasza go. Codziennie leci na śmierć, a ja nie chcę go stracić. Jeżeli mu napiszę o tym, to gotów wszystko rzucić i przyjechać, a wtedy żandarmy go złapią i za zdradę dostanie kulkę. A jeżeli w powietrzu zacznie o tym myśleć, kiedy jakiś Francuz czy Anglik będzie chciał go zabić? To jak się wtedy obroni?

- No, ale w końcu się dowie. Jak mu się wtedy wytłumaczysz, z dzieckiem na rękach?

- Nie wiem, coś wymyślę. Tylko błagam, nie odsyłaj mnie do domu.

Maria objęła dłońmi głowę. Przez chwilę milczała.

- Dobrze, jeżeli będziesz nadal pomagać, to zostań. Ale daję ci miesiąc, żebyś napisała list, który ja sama wyślę. Nie ważne, czy kawaler naraża się czy nie. Jeżeli jest takim rycerzem, jakiego opisywałaś, to nie zostawi cię, choćby nie wiadomo co się działo. Dzisiaj jest 18 września. 18 października list ma być w jego rękach. Pamiętaj.

\*\*\*

Oczy zamknęły się, a z ust popłynęło miarowe: hrrrrr. Śpieszył się, bo Felcia wołała go z okna, ale ich dom stał jakoś daleko, za łąką, na której stały samoloty.

- Alarm! Wstawać! – Wściekły łomot w gong i wrzaski wstrząsnęły nim. Niezgrabnie poderwał się z „zorganizowanego” skądś wiklinowego fotela i natychmiast runął na ziemię.

- ...mać! – zaklął po polsku i mocno pochylony, kulejąc wystartował w ogólnym kierunku na stojące samoloty. Rudi, jego mechanik już stał na skrzydle, a drugi, Max, trzymał za śmigło.

- Chwila, *Herr Leutnant!* – Rudolf powstrzymał go, dopilnowując, by solidnie zapiął nie tylko pasy, ale i lotniczą kurtkę. Dwa dni temu Neumann poleciał niedopięty i teraz leżał z wysoką gorączką. Pierwsze Fokkery warczały już rozgrzewanymi silnikami, reszta pilotów kończyła przypinanie i sprawdzanie sprzętu. Garsztka uśmiechnął się nerwowo, a Rudi pochylił się ku niemu:

- Obstawiliśmy pana. Wysoko! – zabrzmiało jak rozkaz.

Mietek kręcił się w środku, moszcząc się na spadochronie. Rano, jedna ze skuwek niemiłosiernie wrzepiła mu się w d... i do tej pory czuł jej kanciastość. Rzut oka na przyrządy, dłoń na magneto, kontakt, obrócone śmigło wprawia konstrukcję w wibrację. Raz jeszcze i raz, i motor z Bawarii kaszlnięciem obwieszcza światu swoje przebudzenie. Pierwsze D.VII ruszają, lecz Garsztka czeka, aż silnik złapie odpowiednią temperaturę. Potem szczyrzy zęby do Rudiego.

- Jeśli tylko ich spotkamy, to masz jednego.

Rudi unosi kciuki i zeskakuje ze skrzydła. Mietek lekko dodaje gazu skupiając się na melodii silnika. Kadłub drży, skrzydła wibrują zrzucając z siebie kropelki wilgoci. Dokąd lecą? Blumenbach wie, ale i on by chciał poznać kierunek lotu. Podjeżdża do niego Emil Meyer i wrzeszczy coś. Mietek nie rozumie ani słowa, ale układ ust przyjaciela składa się na „Saint Quentin”, czyli aleja Sopwithy, jak zaczynają mawiać. Zaraz jednak pojawia się telefonista, który wskakuje na skrzydło maszyny dowódcy i coś krzyczy. Blumenbach kiwa głową i daje żołnierzowi znak, a ten rusza od Fokkera do Fokkera. Frankfurt zbombardowało kilkadziesiąt lekkich i ciężkich bombowców zadając spore straty, a teraz herbaciarze wracają. Przeżegnał się. Po pierwszym zestrzeleniu miał koszmary i gdzieś pod skórą pojawił się strach. Bywało, że w nocy budził się pełen niepokoju, chwycił za różaniec i modlił się. Także za tych, którzy polegli z jego ręki, na przykład za tych dwóch z 35 dywizjonu Królewskiego Korpusu Lotniczego, których zestrzelił osiemnastego.

Nad głowami przeciągają Fokkery i Pfalze z innej eskadry, Blumenbach jest gotowy do startu. Mietek oficjalnie w ilości zestrzeleń zrównał się z dowódcą, lecz w tyle głowy ma tych niepotwierdzonych. Powinien być już asem, może dzisiaj formalnie się nim stanie. Jego maszyna toczy się po nierównej trawie, połykującej wilgocią w przedwieczornym słońcu. Będą lecieli na północny wschód, wysoko, starając się dostrzec formację nieprzyjaciela. Całkiem możliwe, że naprzeciw wracającym bombowcom wyleci chmara angielskich myśliwców, więc może być bardzo gorąco. Popołudniowy spektakl uatrakcyjni także pogoda: ostre jesienne słońce, chmury ciemne od deszczu i mocny, chwilami porywisty wiatr.

Jak ostatnio dość często mu się zdarza, ustawia się na końcu szyku i pewnie oberleutnant znowu go za to opieprzy. „Stary” chce mu się przyjrzeć, zobaczyć jego sztuczki. Biała flara szybuje w powietrze, niebo nad Chevresis-Monceau jest wolne od samolotów. Jeden po drugim, osiem Fokkerów rusza z rykiem silników, pozostawiając za sobą aerozol wilgoci i stojących na ziemi ludzi, którzy trzymają kciuki. Jak na zawodach.

Blumenbach kieruje ich najpierw na północ, na Guise, by nabrać wysokości. Od Saint Quentin dzieli ich niecałe trzydzieści kilometrów, od Frankfurtu blisko czterysta, czyli około trzech godzin lotu maszyn wroga. Anglicy i szarpiące ich jasty mogą znajdować się dziesiątki kilometrów stąd, albo niedaleko, za którąś z ogromnych chmur. Może też bezpiecznie już wylądowali? Komunikat, który mu przekazano był bardzo niedokładny. Jasta 31 idzie po spirali, piloci kręcą się w ciasnych kabinkach jakby oblażyli ich pchły. Najbliższa chmura jest poszarpana, połykuje ostro słonecznymi ostrzami.

Mietek lekko pochyla maszynę, by osłonić się skrzydłem przed ostrym słońcem. Natychmiast dostrzega iskrzące w słońcu punkty na nieboskłonie, jak drobne gwiazdki głęboką nocą. To roje samolotów, kręcących się jak rozwścieczone osy. Bitwa trwa w najlepsze. Na ziemi też widać błyski i dymy, piechociarze robią swoje nie zwracając uwagi na rycerzy przestworzy. Chyba, że na łeb sypią im się bomby albo spada płonący wrak.

2000 metrów. Jasta przewraca się na lewe skrzydła wchodząc na kurs bojowy. Mietek zerka na Fokkera dowódcy, na którym wymalowano białą jedynekę. Blumenbach odwraca głowę ku niemu i macha ręką wskazując na zachód, potem unosi trzy palce pokazując na północ.

Mietek kiwa głową. Silniki dostają więcej paliwa i dwa kliny Fokkerów zwiększają wysokość, by wyrzeć nad opar ograniczający widoczność. Powoli obszar niebiańskiej bitwy ukazuje się w całej okazałości. Co najmniej kilka formacji liczących kilka - kilkanaście maszyn rozrzuconych w nieregularną szachownicę na różnych pułapach. Nad nimi kłębowisko myśliwców jedno, dwu i trójpłatowych w grupkach i w szaleńczym, akrobatycznym tańcu.

Widać smugi pocisków, czasem nawet błyski wystrzałów. Mietek dostrzega około dziesięciu aeroplanów nieco z boku. Zrównuje się z Blumenbachem i pokazuje na nie. Wódz potakuje i natychmiast opuszcza pysk maszyny.

Kolejne Fokkery Jasta 31 ruszają do walki. Jeszcze kontrolny ruch głową: z wysoka kierują się w ich stronę cienie. Kilka, lub kilkanaście sekund na atak na angielskie D.H. - dziewiątki. Kadłuby maszyn herbaciarzy rozjarzają się, Lewisy stawiają skuteczną zasłonę lecz Mietek schodzi nieco na bok. W celowniku podskakuje rosnący kształt dwupłata i bez namysłu odpala serię, jak z sikawki. Aeroplan natychmiast odpada od formacji lecz nie ma czasu na oglądanie się, bo *Camele* i *Dolphiny* są tuż tuż.

Ostry zwrot i wyjście spod strumieni ołowiu. Rozgląda się. Herbaciarze jak owczarki strzegą swojej formacji i robi się ich zbyt wielu, lecz z jakiegoś względu nie podejmują pościgu. Tu jest zbyt niebezpiecznie. Wokoło zbierają się Fokkery – liczy: są cztery. Po numerach poznaje: Oskar Müller, Emil Meyer, Bernhard Lausher oraz niedawno przybyły Fritz Leich ruszają za nim, jako najskuteczniejszym z grupy. W powietrzu nie ma starszeństwa według

wieku czy służby: liczy się doświadczenie i lotnicze szczęście. Przy dobrym strzelcu i inni coś ułowią.

Garsztka unosi dziób maszyny zbierając kolejne metry. Wszystkie przyrządy w maszynie w normie, motor mruży jak zadowolony z siebie niedźwiedź. Zaraz znowu pokaże swoje pazury. Głowa co rusz zwraca się w innym kierunku.

Mietek odrywa prawą dłoń od kolumny sterowej i macha gwałtownie w stronę słońca, a lewa dodaje gazu. Fokker bucha spalinami, a przyśpieszenie wciska Mietka w skórzane oparcie lotniczego fotela. Przez zmrużone powieki chronione szybkami gogli wpada niewiele światła, ale wystarczająco dużo, by dostrzec ciemne, rosnące kropki w słonecznej czerwieni. Maszyna przewraca się na bok zmniejszając sylwetkę i unikając strug pędzącego w jej kierunku metalu. Nie ma czasu na sprawdzenie, czy pozostali spostrzegli zagrożenie. S.E. 5a przelatuje ze świstem o kilka metrów: oko dostrzega wypielęgowane, zawinięte rude wąsy i czerwony szalik na szyi herbaciarza. Powinien zrobić natychmiast zwrot, gdyż jego samolot jest szybszy i zwrotniejszy od Anglika, ale już nadlatują następni, a za nim są jego kamraci i mógłby się z któryś zderzyć. Robi beczkę unikając następnych wrogów, potem pętla z przewrotem i zwrot w lewo, za śmigającym *Camel*em. Przeciążenie wciska go w siedzenie, poniżej sunie masa oliwkowozielonych dwupłatowców z zwartej formacji, czyli kolejne bombowce, które rozwały Frankfurt albo inną miejscowość, a obok świszczą smugowe pociski. Zacieśnia zwrot by pozbyć się prześladowcy gubiąc *Camela*, na którego miał ochotę. Niedaleko przemyka para Niemiec – Anglik, a Garsztka wykorzystuje mgnienie oka, w którym wróg przemyka przez krzyżyk celownika i wrzepia mu krótką serię. Nie może dostrzec efektu, bo lewy górny płat rozrywają kule. Odruchowo odbija, ściągając maksymalnie drążek i pchając lewą prawą nogą orczyk. Konstrukcja protestuje trzeszcząc złowieszczo, Mietek błyskawicznie odwraca się widząc za sobą dwóch herbaciarzy mających go jak na widelcu. Rozpaczliwie wprowadza Fokkera w korkociąg aż przed oczyma robi się czarno i jakimś cudem wyprowadza maszynę po kilku zwiwkach. Jest mu niedobrze, wręcz dusi się ale rozgląda się. Wyżej kotłuje się z kilkanaście samolotów lecz on jest na razie sam. Głęboko wciąga zimne, pełne wilgoci powietrze i już ma poderwać swój aeroplan, gdy w polu widzenia pojawia się sześć lekkich bombowców, z których jeden dość mocno kopci. Jakies sto, sto pięćdziesiąt metrów nad nim, szerokim łukiem omijają walczące wyżej myśliwce. Zanim pomyślał jego dłonie trzymające drążek same wykonały pracę nakierowując Fokkera na wroga. Tamci wyraźnie gapią się do góry, a on sunie prosto i gdy wyraźnie może dostrzec znaki na kadłubach rozpoczyna gwałtowne wznoszenie. D.H. 9 –tki jeszcze go nie widzą, a on ustawia lekkie wyprzedzenie przed krzyżykiem celownika. Dopiero teraz któryś ze strzelców raptownym ruchem przesuwając na obrotnicy swoją maszynkę i nim naciśnie na spust, Garsztka otwiera ogień. Seria jest krótka, ale śmiertelna dla samolotu. Z przedniej, dolnej części silnika sypią się skry, a zaraz potem odpadają kawałki metalu. Płatowiec wręcz podskakuje, po czym bezwładnie pochyła się na lewe skrzydła i ślizga na nich jak jesienny liść. Mietek odbija w bok, dostrzegając dużą, białą literę „N” wymalowaną na boku i kołpaki kół w biało-czerwonej szachownicy. Rozgląda się, potem zerka na zegary. Walka zżarła znacznie ponad połowę paliwa, ale nie dopuści, by Blumenbach zakwestionował jego zestrzelenie<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> Ostrzelany 25 września D.H. 9A należał do 110 dywizjonu, który tego dnia poniósł bardzo ciężkie straty. Pilotami byli porucznik HJ Cockman, który został ranny w rękę i nogę oraz podporucznik CHB Stevenson. Według danych niemieckich samolot został zestrzelony, wg brytyjskich zdołał powrócić na lotnisko. Drugą maszyną zestrzeloną wg angielskich źródeł był D.H. 9 z 27 dywizjonu, który bombardował Bohain. Pilotami byli kanadyjski podporucznik A. V. Cosgrove oraz podporucznik S.C. Read. Obaj zginęli.



Pilot „dziewiątki” zażarcie walczy o życie z obficie dymiącą, niesterowną maszyną. Przesuwa się nad wioską Gricourt z jej charakterystyczną, ceglano- żółtą wieżą kościoła i urywa skrzydła o jakąś szopę w następnej wiosce. Dla pewności Garsztko robi koło. Pilot wychodzi z wraku, a Mietek kiwa doń skrzydłami i bierze kurs na lotnisko. Dokładnie pokaże dowódcy, gdzie ma szukać potwierdzenia.

Spotykają się w powietrzu tuż nad Villers les Guise a Mietek polatuje do Blumenbacha, który gestem wskazuje na sąsiednią maszynę. Unteroffizier Brüngel macha wesoło, a białe zęby na okopconej gębie wyglądają jak u jakiegoś diabełka. Jeszcze przelot honorowy nad polem wzlotów, machanie skrzydłami i eskadra siada. Fokker powoli dotacza się do pola wzlotów i nim silnik gaśnie, Rudi jest już na skrzydle, patrząc nań błagalnie. Mietek powoli rozpiną pilotkę i guziki kurtki.

- Jaka stawka?

- Sto dwadzieścia marek, że nie da pan rady.

Garsztko kiwa głową ze zrozumieniem.

- Chyba musisz dopuścić mnie do spółki, Rudi. Na 100 procent masz czwartego.



\*\*\*

**P**rzechodzący nad Guise front atmosferyczny powoli słabł. Rzęsisty deszcz i porywisty wiatr, które co chwila werblami uderzały w szyby *Le Familistère* nie psuły nastroju świętującym lotnikom. Komunikat meteo mówił, że jutro na zachodzie, za liniami wroga pogoda będzie paskudna, a u nich lotna też nie będzie. Garsztko też wyrwał się z objęć melancholii. Po prawdzie, to były ku temu trzy powody: zestrzelenie wrogiego samolotu, list z domu i zapas koniaku, który nabyli okazji od jednego z restauratorów.

- To co, pijemy za myśliwego Garsztkę i myśliwego Brüngela, który drugi raz wpisał się na listę – Blumenbach ubrany w śnieżnobiałą kurtkę mundurową lekko się zachwiał, po czym ręką trzymającą kieliszek wskazał na szkolną tablicę ustawioną między oknami świetlicy, gdzie schludnym pismem wypisano ich nazwiska i osiągnięcia.

- Przepraszam, *Herr Oberleutnant* – z głębi zadymionego pomieszczenia odezwał się wysoki, młodzieńczy głos. Gdyby nie piskliwa nuta, zapewne podchmielone towarzystwo zignorowałaby go.

Blumenbach pociągnął spory łyk i zaczął przedzierać się między stolikami i krzesłami, na których siedzieli piloci i oficerowie z obsługi.

- Toż to mały Fritz Leich. – Dowódca zatrzymał się przed leutnantem, który nie wiadomo czy bardziej z powodu gorąca i alkoholu, czy swojej śmiałości obłany był pąsem.

- No, czemuż to przerywa pan swojemu dowódcy? – Paul był w doskonałym nastroju do zabawy i żartów, także ze swoich ludzi.

- Jestem przekonany, że leutnant Garsztkę zestrzelił dzisiaj dwa samoloty. Oczy dowódcy zrobiły się okrągłe, a wyrażająca udawane zdumienie twarz została zaprezentowana całej sali. Bawiący się zamarli, czekając na ciąg dalszy.

- No, ale nasz drogi Sylvester po co drugim locie deklaruje, że coś ustrzelił. A to herbaciarza, a to kaczkę, a nawet wróbla. Żeby choć te kaczki nam spadały na lotnisko, to byśmy co do garnka mieli wrzucić!

Ryknęli śmiechem. Tylko Garsztkę i Meyer byli poważni. Mietek oczywiście zgłosił dwa trafienia, z których drugie potwierdzili inni piloci. Leich, który cały czas trzymał się blisko, milczał w czasie przesłuchania.

- Ale ja widziałem! – W głosie Fritza zabrzmiała złość.

Znowu kilka śmiechów. Dowódca wycelował palec w pierś oficera.

- Melduj chłopie.

- To było w czasie ataku całej naszej jasta na pierwszą grupę bombowców. Leutnant Garsztkę – Fritz przerwał by odszukać Mietka – wystrzelił długą serię w kierunku skrajnego D.H. Tamten natychmiast odpadł. Mnie na zakręcie mocno wyrzuciło – nerwowo przełknął ślinę – więc prawie zrównałem się z Anglikiem. Pilot miał głowę opuszczoną do kabiny, strzelec starał się przekręcić w jego stronę, a samolot mocno przechylony schodził do ziemi.

- I? – Głos Blumenbacha tym razem był poważny.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że widziałem jak się rozbił. Wtedy dopadły nas myśliwce wroga i tak jak inni walczyłem o własną skórę... Ale moje doświadczenie mówi mi, że tamten musiał się rozbić.

Zapadła cisza. Blumenbach odstawił kieliszek i potoczył wzrokiem po swoich ludziach, zatrzymując się na Mietku. Wtedy odezwał się Strauch:

- Kilka dni temu, panie kolego, mało co nie staranował mnie pan w powietrzu, więc o doświadczeniu proszę nie mówić. A po drugie, skoro znalazł się pan tak blisko rannego wroga, to czemu go pan nie dobił? Wtedy zestrzelenie poszłoby na pańskie konto. A... Trzask wywracanego krzesła przerwał mu: Garsztkę przepychał się ku wyjściu. Trzasnęły drzwi i zapadła cisza.

Mietek stanął w hallu *Le Familistère* rozejrzał się, po czym szeroko otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Podoficer służbowy i wartownik odprowadzili oficera zdumionym wzrokiem. Wiatr natychmiast zburzył mu fryzurę, a ostatnie krople deszczu schłodziły rozpaloną twarz. Doszedł aż do ulicy i stanął, zamykając oczy. Wiatr szarpał niewysoką, szczupłą sylwetką studząc powoli emocje. Głębokie wdechy pompowały wilgotne powietrze, serce powoli uspokajało się. Dłoń dotknęła kieszeni, w której leżał złożony list od ojca.

Kochany staruszek. Jako uczeń trochę się wstydził, gdyż papa był w wieku dziadka. Ale mądre słowa, które w czasie czytania go zirykowały, tu i teraz wydawały się nadzwyczaj trafne. Wracaj do domu synu. Już cię tam nic nie trzyma, a ci, których uważasz za przyjaciół, przy pierwszym niepowodzeniu cię zdradzą...

Usłyszał za sobą kroki, lecz nie odwrócił się. Niech ich wszystkich piekło pochłonie!  
Człowiek położył mu dłoń na ramieniu. Przez dłuższą chwilę milczeli, otoczeni ciemnością i ledwie słyszalnymi odgłosami z miasteczka i ich domu - *Le Familistère*. Potem dłoń opadła, lecz stojący za nim nie odszedł.

- Działa biją. Mocno. – Słowa były wypowiedziane po polsku z silnym akcentem. To Emil Meyer. Skąd znał jego ojczysty język?

\*\*\*

**A**lianci czuli moc. Anglicy, Francuzi, Amerykanie, Australijczycy, Belgowie i mnogość innych nacji jak rozwścieczone wilki walili w trzeszczące i coraz częściej pękające pozycje niemieckie. Front zachodni przypominał byle jak zbudowaną tamę, która co rusz puszczała, a której jej obrońcy nie mieli jak zatkać. I nie ogień wrogich armat, nie tysiące karabinów maszynowych, lecz chmary wrogich samolotów decydowały o klęsce Niemiec i tych, którzy mieli „szczęście” wejść w skład świętego cesarstwa. Tak jak wielki pruski buhaj potrafi opędzić się od stada wilczurów, to gdy dopadną go jeszcze gzy, wtedy traci całą chęć do walki i ratuje się rejteradą.

Tak też było z obrońcami czegoś, co szumnie nazwano „Linia Hindenburga”, którzy o ile z zaciętym uporem znosili haubiczne bombardowania i nieprzerwane szturm piechoty, o tyle nieustanne ataki z powietrza zmuszały zmordowanych żołnierzy do nieprzerwanego krycia się w okopach, uniemożliwiały dostawę zaopatrzenia, stawy czy ewakuację rannych. A nieliczne kolumny odwodowe były rozbijane bombami i seriami lotniczych kaemów, rozpraszane, a ci, którzy wreszcie doszli na pozycje, mieli gorsze morale niż wiarusy w okopach.

Wykrwawione eskadry startowały po kilka razy dziennie, o ile pozwalały na to zapasy paliwa, stan techniczny maszyn (nagminna stała się kanibalizacja), a przede wszystkim psychika pilotów. Wciąż rzadko zdarzało się, żeby lotnik wprost odmówił startu, lecz coraz więcej zdradzało objawy nerwicy a nawet hysterii, większość była w depresji i chyba żaden pilot nie wierzył już w zwycięstwo. Rósł procent tych, którzy szukali pretekstu by nie startować w swoich samolotach, a kiery już wzbili, się szybko wracali, skarżąc się na problemy techniczne.

Garszka latał, bo tak wymagał honor, poczucie obowiązku i koleżeństwa. Niewątpliwie był jednym z najlepszych pilotów w swojej Jasta 31, ale także na lotnisku Villers les Guise, na którym stacjonowała także 22 eskadra, wyposażona w Pfalze, a także dostarczone tydzień wcześniej nowiutkie maszyny Simens Schuckert D.IV, z czterołopatowymi śmigłami. Dwudziestą drugą dowodził leutnant Alfred Lenz, pilot bardzo doświadczony, z pięcioma zestrzeleniami. Obie eskadry zasilali pośpiesznie szkoleni piloci, i podobnie jak Lenz czy Blumenbach, Mietek nie miał sumienia puszczać ich samych przeciw przeważającym siłom wroga. Gdzieś rozplynęła się wcześniejsza radość latania. Po przylocie, składał obowiązkowy raport, po czym chwycił za butelkę wina i walił się w fotelu, nasuwając na oczy czapkę, lub rzucał się na łóżko w swoim pokoju w Le Familistère de Guise. Dwudziestego szóstego września wylatywali już trzeci raz. Rano, z dwoma pilotami na przechwycenie samolotów obserwacyjnych, lecz widok sześciu *Cameli* chroniących D.H. 9 był wystarczającym bodźcem, by porzucić myśl o samobójczym ataku. Przed południem Fokkery i Pfalze trafiły na puste niebo nad St. Quentin – coś ostatni rzadko spotykanego. Pokręcili się

kwadrans, by pokazać camembertom, że cesarskie lotnictwo jeszcze istnieje, po czym dla oszczędności paliwa wrócili do Guise.

O siedemnastej poderwali ich znowu. Najpierw startowały malowane w większości na srebrno Pfalze z dwudziestej drugiej, potem pokryte malowanym w maskujące wielokąty Fokkery ich eskadry. Znowu na Saint Quentin! Tym razem już z daleka widać było przemieszczające się angielskie i francuskie maszyny, jakby ich, niemiecka, krótka, południowa dominacja nad niebem zmusiła tamtych do udowodnienia, do kogo należy ten obszar. Z tego co słyszał, jeszcze inne jasta miały się pojawić, więc nawet, jeśli łącznie Guise wystawiło trzynaście samolotów, to będzie to siła, która może herbaciarzom i camembertom napsuć krwi. Wzbili się na 1600 metrów, gdy horda rzuciła się na nich. Nieuporty, *Camele*, *Snipy*, SPAD-y, S.E.5a – tyle zdołał rozpoznać, zanim zaczął walkę o przeżycie.

Immelman, gwałtowny przewrót przez prawe skrzydło, uślizg, gaz i SPAD jest przed nim. Zaciska krąg kciuki dotykają spustu gdy *Froschfresser* wywija się jak glizda.

- Kur...! – Ojczyście słowa najlepiej wyrażają wściekłość i jednocześnie uspokajają. Rzut oka w lewo, automatyczna reakcja obronna i zejście z linii nieprzyjacielskiego ognia. Nawet nie ma możliwości odegrania się, bo kilkadziesiąt metrów nad nim, srebrny Pfalz ze starym typem krzyża i czarnymi pręgami na kadłubie, należący do Lenza ma pieruńskie kłopoty. Trzy S.E.5a – maszyny równie wiekowe, ustawione jeden nad drugim walą do leutnanta jak w kaczkę. Wokoło szaleństwo: któryś z Niemców pali się ale dymi też Nieuport. Obecny prześladowca Garsztki jest dobre dwieście metrów za nim, więc pilot pochyla głowę, dociska manetkę gazu do oporu i rozpoczyna wznoszenie. Ma teraz doskonały widok i jako obserwator może docenić sztuk pilotażu dowódcy dwudziestej drugiej. Alfred nie jest w stanie zerwać się Anglikom, ale na starym gracie wyczynia takie akrobacje, że jego prześladowcy nie mogą na dłużej niż ułamek sekundy umieścić Pfalza w kręgu celownika.

Znowu ogląda się, klnie wściekle, bo kolejny Anglik zachodzi go z boku. Zdaży? Unosi dziób samolotu i naciska spust. „Dolny” S.E.5a gwałtownie odbija na bok wystraszony smugowymi pociskami przelatującymi tuż pod nim, lecz nie ma czasu na poprawki. Najnowszy model, *Snipe*, szybko dochodzi jego Fokkera, więc Mietek przewraca się na grzbiet z ostrym skretem w lewo, przemykając pomiędzy kolejną niemiecko-angielską parą. Uff, ale drań jest szybki! Tamten zagapił się, leci lekkim łukiem rozglądając się i przechodzi Garsztkę przed nosem. Krótka seria od spodu musiała dojść, bo reakcja herbaciarza była błyskawiczna – wejście w nurkowanie. Wyżej znowu widzi Lenza, który wciąż ma kłopoty, więc daruje sobie pościg za *Snipem* i rusza z pomocą. Jakiś Nieuport spada mocno dymiąc, za nim pędzi Pfalz dobijając camemberta, niedaleko dwa *Camele* próbują dopaść Fokkera ścigając się po okręgu. Popołudniowe słońce trochę oślepia ale jednocześnie utrudnia innym wrogom dostrzeżenie go. Maszyna wibruje, motor dudni ogłuszająco na maksymalnych obrotach, Pfalz Lenza ma dużą dziurę w boku, Anglicy urządzą sobie ćwiczenia jak na strzelnicy. Dwaj bliżej, jeden nieco z boku. Jego D.VII zdobywa niewielką przewagę wysokości i nieznacznie wyprzedza najbliższego herbaciarza, lecz tamten w słońcu jeszcze go nie dostrzegł. Ostry zwrot, wyprzedzenie i ognia! Maszyna wroga wlatuje w strumień pocisków, coś z niej się urywa, bucha płomień<sup>4</sup>. Garsztkę wykonuje gwałtowny zwrot by uniknąć zderzenia. Teraz pozostali dwaj go zauważają, porzucają Pfalza i rzucają się na pomoc swojemu towarzyszowi. Przeciężenie w zakręcie zapiera dech, konstrukcja trzeszczy lecz widok palącej się maszyny wroga jest cudowny. Beczka, zejście za ginącym wrogiem. Pilot chyba jeszcze żyje, w jakiś sposób kontroluje swój aeroplan, który, jak poprzedni

---

<sup>4</sup> Zestrzelony samolot to Sopwith *Camel* pilotowany przez podporucznika Harolda Walkera, który został ciężko ranny, a następnie zmarł. Należał do 80 dywizjonu RAF.

zestrzelony, ciągnie w kierunku Fresnoy. Przez moment ma pokusę, aby tamtego dobić, lecz tylko obserwuje. Uszkodzony wróg zahacza kołami o krzaki i rozbija się o ziemię, a Garsztko zapamiętuje miejsce i odchodzi. Jeszcze jest paliwa na kilka minut walki. Może dorzuci szóstego oficjalnie zestrzelonego?

\*

Restauracja „*La Taverne Du Château*” dawno nie była tak zapchana. Przy kontuarze i stolikach w głównej sali ucztowali niemieccy piloci, a pod ścianami i w mniejszej cisnęli się miejscowi. Wojna obeszła się z miasteczkiem Guise, przy którym stacjonowała Jasta 31 niezbyt okrutnie. Jeszcze w czternastym roku w walkach uszkodzono dworzec, kościół i kilkadziesiąt domów, a kilka pomników z brązu i dzwony zabrano dla przetopienia. Wcześniej sporo domostw opustoszało, lecz zgodnie z tym, co mówili piloci z Dwudziestej drugiej, ludzie wracali. Pewnie i dlatego Mietek co rusz wychwytywał wrogie spojrzenia i jednoznacznie nieprzyjazne gesty. Początkowo chciał podejść i zagadać w swojej szkolnej francuszczyźnie, ale odpuścił. Dzisiejszy dzień należał do niego i tylko do niego. Odruchowo dotknął piersi, na której przypięty był Krzyż Żelazny. Nowiutki, połyskujący nawet w świetle słabych, popstrzonych przez muchy elektrycznych żarówek. Pierwszej klasy. Dzisiaj też opijano jego tytuł asa. Pięć potwierdzonych zestrzeleń. I pierwszy as w ich eskadrze.

Tym razem to nie on stawał. Alfred Lenz, który wcześniej traktował go nieco z góry, po szczęśliwym lądowaniu rzucił wszystko i podszedł do Mietka. Przez długą chwilę w milczeniu ścisnął mu mocno obie dłonie, a Garsztko przysięgłby, że w oczy weterana zaszklily się wilgocią. To Lenz dzisiaj stawał i piloci obu eskadr pili na jego koszt.

- Na cześć Sylwestra, hip hip, hurra! – rozległo się po raz kolejny i kolejny kieliszek sznapsa przelał się przez gardło.

- Patron! Co z tym jedzeniem! – wydarł się Lenz, a chór głosów poparł go. Alkohol zasumiał mu w głowie i zrobiło się gorąco. Rozpiął dwa guziki w bluzie i począł przepychać się ku wejściu. Tam przynajmniej było chłodniej, a w zasadzie to przez zimny, atlantycki wiatr dmuchał lodowato. Minął trzech francuzów w charakterystycznych beretach, którzy na jego widok zamilkli, łypiąc jedynie wrogo.

Pod drewnianym daszkiem, dobudowanym przez właściciela stało kilka krzeseł i zmęczonych stolików. Stanął przy jednym z nich i głęboko odetchnął. W mdłym księżycowym świetle miał stąd widok na ciągnącą się pod górę, połyskująca słabo kocimi łbami drogę wiodącą do zamku, zwanego też fortem. Jeden z jego narożników czernił się tajemniczo i niebezpiecznie – ulubione miejsce wcześniejszych wędrowek niemieckich żołnierzy na przepustkach stało się zbyt niebezpieczne z powodu napadów. Wprawdzie nie śmiertelne, lecz pobicia do nieprzytomności, kradzieże broni i przedmiotów osobistych stały się tam dość częste. Patrole niewiele zdziałały – miejscowi musieli znać ukryte przejścia i zakamarki, a na chodzących żołnierzy spadały kamienie, cegły czy wylewano nieczystości.

W kilku ceglanych domach paliły się światła – w większości lamp naftowych. Hen, z zachodu dobiegał mocno stłumiony, lecz wyraźny odgłos kanonady. Piechociarze nie spali kolejną noc. Zimno wdzierano się pod rozpięty mundur, trzeźwiąc. Jutro mieli lecieć inni – taki był rozkaz Roberta. Za odznaczenie należał się także urlop, ale najszybciej będzie mógł go odebrać pod koniec października czy w listopadzie, kiedy w zasadzie skończy się latanie. Wzdrygnął się. Niedaleko, od strony *Familistere* gdzie mieszkali doleciało go przeraźliwe ujadanie psa, które przeszło w potępięcze wycie. Zaraz też kolejne zwierzęta przyłączyły się do przeraźliwego koncertu. Odwrócił się by wejść: w wejściu stało tych trzech w beretach.

Strumień światła bijący z wnętrza ukazał mroczne sylwetki, zaciśnięte pięści i pochylone ramiona.

- Jeżeli szukacie kłopotów, to proszę bardzo! – rzekł spokojnie, jednocześnie opierając dłoń na kaburze. Jeżeli zaatakują, to nie zdąży wyciągnąć i przeładować pistoletu. Tamci stanęli, wymieniając spojrzenia.

- Wojna pewnie się niedługo skończy. Odzyskacie swoje miasto a ja chcę wrócić do siebie, do Polski.

Zamilkł, zaskoczony własnymi słowami. Stojący po lewej coś cicho rzekł, po czym skręcili ku uliczce i zaraz znikli za rogiem. Sapnął z ulgą. Powiedział głośno to, o czym coraz intensywniej myślał. Miał gdzie wracać.

\*\*\*

### *Kochani Rodzice!*

*W pierwszych słowach mojego listu spieszę wam donieść, że jestem zdrowy i dobrze się czuję na ciele. Przez dłuższy czas nie odpisywałem, gdyż jestem permanentnie przemęczony nieustannym lataniem. Anglicy i Francuzi mocno napierają na front, który trzeszczy i pęka. Przedwczoraj ze względu na deszcze miałem przerwę w lataniu, choć Francuzi obrzucili nasze lotnisko bombami (jeżeli tak będą celować, to nieprędko nas pokonają). Zatem wczoraj, odwiedziłem rannego w walce Kurta Holle z mojej eskadry. Sporo się tam nasłuchiwałem i naoglądałem przy okazji, gdyż my – lotnicy – mamy niewielki kontakt z innymi formacjami. Przypadkowo spotkałem pewnego leutnanta, który zaczynał jako podchorząży w moim batalionie piechoty. Dostał postrzał w plecy i na pewno był to zamach ze strony któregoś z żołnierzy. Gość mówi, że morale sięgnęło głębiej niż dno. I gdyby nie propaganda szeptana, że Francuzi jak wejdą, to zemszczą się na niemieckich kobietach, to pewnie wszyscy jak jeden mąż ruszyliby do domów, rzucając broń.*

*A teraz trochę lepsze wiadomości. Pisałem Wam, że przesiadłem się na nowy typ samolotu: Fokkera D.VII. Wspaniała maszyna: zwrotna, szybka i dobrze uzbrojona. Dzięki niej uzyskałem piąte potwierdzone zestrzelenie, tytuł asa powietrznego (jako pierwszy z eskadry) oraz następnego dnia Krzyż Żelazny klasy pierwszej. Mój dowódca przebąkuje, że chce mianować mnie swoim zastępcą, ale ja się nie zgadzam.*

*Już od dłuższego czasu wiem, że ta wojna nie jest moją wojną. Jestem poddany niemieckiego cesarza, ale przecież jestem Polakiem. Może i nie brałbym tego faktu do serca, gdyby nie szwabska buta i wciąż pokazywana wyższość. Ten tytuł jest jak moja tarcza. Kazałem mechanikowi wymalować na burcie srebrnego orła startującego do lotu. Z każdym następnym zestrzeleniem będę domalowywał nowe elementy – złote szpony, koronę i wreszcie biało-czerwone tło. Niemcy latają różnie zdobionymi aeroplanami, więc i ja mogę.*

*Pytałeś mnie Tato dlaczego jeszcze walczę? Wielu naszych wraca przy pierwszej sposobności do domu. Tak, myślałem o tym. Pewnie jest wiele przyczyn. Najpewniej jedną z pierwszych jest moje umiłowanie latania. Tam, wysoko, czuję się prawdziwie wolny i niezależny. Sam decyduję o życiu swoim i innych. Pewnie powiecie, że brzmi to górnołotnie, lecz ja to tak postrzegam. Kilka dni temu, na nasze lotnisko dostarczono nowy typ maszyn: Siemens-Schuckert D-IV, który oblatuje dowódca Dwudziestej drugiej eskadry, Lenz. Jako, że niedawno uratowałem go z opatów, to pozwolił mi wykonać ćwiczebny lot. Za sterami takiego cuda cała moja apatia i zmęczenie mijają i wraca energia do życia.*

*Drugą, chyba ważniejszą sprawą jest mój honor. Sam niewiele posiadam, a z tego co mam honor jest najważniejszą rzeczą, zaraz po świętej wierze. Niestety przysięgałem Kajzerowi i nie mogę splamić swej dumy. To także poczucie braterstwa. Choć wielu z tych, z którymi latam, nie chciałbym znać jako cywil, to między nami, zwłaszcza w powietrzu jest*

*braterska więź. Nie potrafię zostawić zupełnie świeżych pilotów na pewną śmierć. Tak się zwyczajnie nie godzi.*

*Lecz na co dzień, jak pisałem jestem mocno przemęczony. Źle sypiam, gdyż prawie w czasie każdego lotu wpadamy na Anglików i wtedy walczy się na śmierć. Potem, gdy wysiadam z samolotu, to albo jestem wyczerpany, że śłaniam się, albo muszę ukrywać, że cały się nadmiaru tych nerwów trzęsę. Tak zresztą jest z większością z nas – znikła radość latania. Możecie z tego listu wnioskować, że piszę o sprzecznych rzeczach, lecz my tutaj żyjemy w rozdartym świecie. Z jednej strony wielkie niebezpieczeństwo, z drugiej brak widocznych perspektyw. Lecz sądząc po tym co widziałem w lazarecie, wojna skończy się w ciągu kilku tygodni klęską Niemiec.*

*A o mnie nie martwcie się. Bardzo chcę wrócić do domu i zacząć układać sobie życie. Może będzie związane z lataniem? A może wrócę do studiowania medycyny, ale gdzieś bliżej, w Polsce? Bo z Waszych listów widać, że choć jeszcze bez granic, to ta Polska już tam jest.*

*I mam prośbę, abyście życzliwie potraktowali Olgę, gdyby znowu znalazła się w Bydgoszczy. Czule o niej myślę, bo to dobry materiał na żonę i matkę moich dzieci.*

*Ściskam Was serdecznie,*

*Mieczysław.*